



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Władysław Sołtysiak

Warthegau czyli Wielkopolska

Wstęp

Postanowiłem wziąć udział w konkursie pt. „Moje wojenne dzieciństwo” nie dlatego, że uważam, iż moje osobiste okupacyjne przeżycia są godne jakiejś szczególnej uwagi. Są to przeżycia przeciętnego wielkopolskiego dziecka czasu okupacji. Chcę w tej pracy dać wyraz chyba głównie gorzkiego żalu, a może czegoś więcej, może wręcz protestu przeciw znikomej znajomości w Polsce, zwłaszcza w Polsce centralnej, tego, jak w czasie hitlerowskiej okupacji żyło się Polakom w Wielkopolsce i innych wcielonych w październiku 1939 roku dekretem Hitlera do III Rzeszy Niemiec. Okupowaną Wielkopolskę nazwano WARTHEGAU (Kraj Warty), z wieloma tragicznymi dla Polaków konsekwencjami

Kiedy ogląda się polskie filmy, odnosi się wrażenie, że eksterminacja Polaków i hitlerowski terror w czasie okupacji miały miejsce tylko w Warszawie i na pozostałych terenach tak zwanej GG (Generalnego Gubernatorstwa). Eksterminację Polaków na terenie Warthegau pomija się jakimś takim prawie milczeniem. Chyba jest to skutek nieznajomości sprawy. Może jest to wina naszych wielkopolskich uczonych historyków, pisarzy, iż o sprawach tych nie mówią dostatecznie głośno? A może ich prace nie są należycie popularyzowane w centralnej Polsce?

Chcę w tym strzępie wspomnień powiedzieć np., że na terenie Warthegau, inaczej niż w GG, polskie społeczeństwo całkowicie i bezwzględnie było pozbawione środków produkcji (ziemi, najdrobniejszych warsztatów) ze wszystkimi tego skutkami, że był bezwzględnie egzekwowany przymus pracy już z momentem ukończenia 14. roku życia, że uchylanie się od tego przymusu groziło najsroższymi represjami, że polskie dzieci, inaczej niż w GG, były całkowicie i bezwzględnie pozbawione możliwości uczenia się, nawet w szkołach zawodowych, że istniejące warunki uniemożliwiały tajne nauczanie, że Polak nie miał możliwości swobodnego podróżowania, nawet w obrębie Warthegau, bez specjalnego zezwolenia na podróż (tak zwany Passierscheinu), że konsekwentnie zrealizowane przez okupacyjne władze nasycenie miejscowej ludności elementem niemieckim poprzez wysiedlenia Polaków było tak duże, iż okupant miał Polaka, każdego Polaka, pod stałą i ścisłą kontrolą, że bezwzględny obowiązek pracy to jednocześnie obowiązek posiadania ściśle kontrolowanej książki pracy (Arbeitsbuchu), że kartki na żywność gwarantowały głodowe racje, tylko obliczone na podtrzymanie niewolniczej siły roboczej przy życiu, iż wszelki handel, a szczególnie mięsem (że przypomnę z takim humorem wyśpiwywany w „Zakazanych piosenkach” handel rąbanką), groził karą śmierci, a nie tylko konfiskatą tej żywności, jak to było w GG gdzie kwitł czarny rynek.

Nie chcę w tej pracy licytować się z przeżyciami Polaków na terenie GG. Nam w okupowanej Wielkopolsce przecież nie groziły uliczne łapanki, ale Niemcy nie musieli się do nich uciekać. Każdy Polak był tak skrupulatnie zarejestrowany, że z aresztowaniem go lub deportacją w każdej chwili Niemcy nie mieli żadnego problemu, ukrywanie się na dłuższą metę było wykluczone.

Nie twierdzę, że moje osobiste okupacyjne losy Polaka były z tych najtragiczniejszych. Aby nie szukać daleko, powiem, że mój rówieśny mi stryjeczny brat zginął pod Lenino w pierwszej godzinie bitwy jako żołnierz zwiadu. Miał 16 lat. Nie został po nim nawet grób, najmniejszy ślad. Tylko tragiczna pamięć.

Skąd pochodzę?

Urodziłem się we wsi M., w dawnym powiecie gnieźnieńskim, a więc w Wielkopolsce, w roku 1929.

Dla relacji o moich późniejszych losach ważna jest informacja, że mój ojciec był szewcem, pracował we własnym, marnie prosperującym w warunkach wiejskich, warsztacie szewskim. Mieliliśmy własny dom i niecały hektar ziemi, która uzupełniała środki utrzymania.

Mieszkańcy mojej rodzinnej wsi, to mniej lub bardziej zamożni gospodarze, w tym około 50%, to Niemcy z dawnej XIX-wiecznej parcelacji i pruskiej kolonizacji, dysponujący około 10-cioma procentami ziemi.

Niemieckie gospodarstwa należały do bogatszych. Był to efekt m.in. i tego, że Niemcom przypadły wyłącznie dobre ziemie, gdy w ubiegłym stuleciu w czasie zaboru pruskiego parcelowano polski majątek. Polakom przypadały wtedy, jakimś sposobem, w udziale prawie wyłącznie ziemie słabsze.

Część mieszkańców mojej wsi, oczywiście Polaków, nie miała ani ziemi, ani własnych domów. Mieszkali na tak zwanym komornym, a utrzymywali się z pracy sezonowej, głównie u Niemców. Najczęściej jednak pozostawali bez pracy. Kilka rodzin mieszkało w dwóch domach dla ubogich, w całkowitej nędzy. W pamięci zachowałem obraz, gdy od późnej jesieni ciągnęły sznury kobiet niosących na plecach ogromne ilości chrustu z lasu oddalonego o 3 kilometry.

Synowie jednego z naszych niemieckich sąsiadów znaleźli się tuż przed wojną w III Rzeszy Niemiec. Nie wiem dziś, czy legalnie tam wyemigrowali, czy zwyczajnie zbiegli do hitlerowskiego wojska. Faktem jest, że panowała wśród nich opinia, iż pozostała w Polsce niemiecka rodzina była doskonałym źródłem informacji dla hitlerowskiego wywiadu, a zbiegowie stanowili transmisje do przekazywania ich gdzie trzeba. A wystarczyło, że informacje te dotyczyły zachowania się Polaków wobec niemieckiej ludności, wykorzystane później do ustalenia list, kto w pierwszej kolejności ma być zlikwidowany jako wróg Niemców. Informacje te mogły przecież również dotyczyć nastrojów w polskim społeczeństwie itp.

Niemiecka część mieszkańców miała w pobliskim miasteczku kościół ewangelicki, a w sąsiedniej wsi szkołę niemiecką. Na miejscu we wsi mieli Niemcy oddzielny (również ewangelicki) cmentarz. To chyba jasno obrazuje, jak ta mniejszość narodowa do wojny była traktowana w Polsce.

Wrzesień 1939 roku

Wybuch wojny, pierwszy jej dzień, kojarzy mi się w pamięci z chrapliwym krzykiem z transmitowanego przez radio przemówieniem Hitlera, jaki słyszałem u sąsiadów, którzy radio mieli. Bawiła u nich właśnie na wakacjach zniemczala rodzina z Gdańska, która w odpowiedniej chwili owo radio nastawiła. Ten epizod wbił mi się w pamięć. Miałem wtedy tylko nieco ponad 10 lat. Pamiętam ów powszechnie odczuwany lęk.

Potem przyszło to najgorsze: smutek, straszny i zupełny, gdy widzieliśmy wycofujące się wojsko polskie. Moja dziecięca pamięć zarejestrowała wiele obrazów tych dni.

Walk w mojej najbliższej okolicy nie było, ale były lotnicze bombardowania oddalonej tylko kilka kilometrów linii kolejowej Poznań – Warszawa, bombardowania zapchanej wojskiem szosy głównej wiodącej ku Warszawie.

Walk w mojej najbliższej okolicy nie było z tej prostej przyczyny, że główne niemieckie uderzenie – jak wiadomo – nie szło bezpośrednio z kierunku zachodniego. Wraz z wojskiem ciągnęli na wschód uciekinierzy, polska ludność cywilna z zachodnich powiatów Wielkopolski. Dochodziły do nas straszliwe wieści, iż byli masakrowani niemieckimi bombardowaniami na drogach pod Koninem, Kołem i Kutnem. Nie byłem świadkiem tych bombardowań, ale słyszałem je i pamiętam grozę w opowieściach świadków.

Uciekająca z Poznania profesorska rodzina Ch. zostawiła u nas, w domu moich rodziców, ojca w podeszłym wieku (może dziadka), którego byłem ulubieńcem przez kilka wrześnieowych dni. Dał mi na pamiątkę książkę pt. „Jan III Sobieski”. Zaiste symptomatyczne jest to, że ten starszy człowiek miał

ją z sobą w czasie tej wojennej tułaczki. Rodzina zabrała go po kilku tygodniach, po powrocie z ucieczki na wschód. Nie znam jej dalszych losów, nikt z tej rodziny nie odwiedził nas nigdy później.

Jako dziecko nie zanotowałem w pamięci dokładnej daty, kiedy Niemcy wkroczyli do mojej rodzinnej wsi. Może to był 8 września? Pamiętam jednak, jak wjechali tankietkami na rynecek, jaki tworzą usytuowane w czworobok domy. Błyskawicznie ustawili karabiny maszynowe z lufami wycelowanymi w nasze domy. Przeszukali domostwa spodziewając się znaleźć uzbrojonych Polaków.

W mojej wsi i najbliższej okolicy polska ludność cywilna nie stawiała oporu najeźdźcy, choć wśród mieszkańców były takie zamiary. Opór stawili mieszkańcy niedalekiego Klecka, położonego kilka kilometrów na zachód od Gniezna. Odwet Wehrmachtu za to na mieszkańcach był straszny i jest chyba minimalnie opisany w literaturze historycznej, mało znany w Polsce.

Miejscowa ludność niemiecka w naszej wsi poinformowała niemieckie władze wojskowe wystarczająco szybko i dokładnie tak, że np. jeden z naszych sąsiadów – pan Jan K. – który czynił próby zorganizowania, jak w Klecku, zbrojnego oporu Niemcom, natychmiast po wkroczeniu Wehrmachtu został aresztowany i stracony, prawdopodobnie w niedalekim Inowrocławiu. Był ojcem Teresy, mojej koleżanki z klasy. Nastąpiły też zaraz aresztowania żyjących jeszcze byłych uczestników Powstania Wielkopolskiego z pobliskiego Witkowa. Rozstrzelano ich jednak nie w Witkowie, ale na skraju mojej wsi w dołach po wydobytym piasku i żwirze. Pamiętam te strzały. Przypadkowi świadkowie tej egzekucji słyszeli z niewielkiej odległości ich okrzyk przed śmiercią: Jeszcze Polska nie zginęła!

Ciała rozstrzelanych zakopano na miejscu, do czego zmuszono mieszkańców mojej wsi. Wzięto też 10 zakładników z mojej wsi i uwięziono ich na poddaszu szkoły. Pamiętam, jak wyglądali małym okienkiem poddasza. Zakładnikom groziło rozstrzelanie w przypadku jakiegokolwiek wrogiego gestu ze strony polskich mieszkańców. Do rozstrzelania zakładników na szczęście nie doszło, gdyż dostatecznie mocno paraliżował nas strach, aby ktoś mógł ujawnić jakiś wrogi Niemcom gest. Strach ten był chyba usprawiedliwiony. Byliśmy w otoczeniu wrogiego, wyjątkowo wrogiego żywiołu ludności niemieckiej i wojska. O ile dobrze pamiętam, do zakopania ciał rozstrzelanych Powstańców Wielkopolskich użyto zakładników, o których wspomniałem wyżej.

Na skutek donosów miejscowych Niemców, aresztowani zostali również ci, którzy do wybuchu wojny oraz na samym jej początku, tak lub inaczej weszli z nimi w konflikt. Przepadli i oni bez wieści, bez najmniejszego śladu. Nawet chyba nie byli wywożeni daleko. Nie przypominam sobie, aby był ogłoszony komunikat o ich straceniu. Byli to trzej nasi sąsiedzi: Franciszek Ł., Julian Ł. i Stefan B. Wszystko to zostawiło w mojej pamięci trwałe ślad. Powtórzę, iż miałem tylko nieco ponad 10 lat. Dziś jeszcze budzi we mnie grozę wspomnienie, jak po aresztowaniu jednego z nich, wieźli go wozem chłopskim gdzieś, skąd już nigdy nie wrócił.

Prawdopodobnie, jak w dwóch pozostałych przypadkach, był to Inowrocław.

Nadszedł dzień 27 września i porażająca wieść o kapitulacji Warszawy. Wieść tę przekazali nam Niemcy, pasąc oczy naszą nie dającą się utaić rozpaczą. Moja mama płakała.

Ludność polska nie miała już odbiorników radiowych, gdyż ich nieliczni posiadacze zaraz po wkroczeniu Wehrmachtu byli pod srogą karą zobowiązani oddać je władzom okupacyjnym. Nie mając radia nie mogliśmy wiedzieć, że wojsko polskie staczało zwycięskie, acz krwawe boje nad Bzurą, że jeszcze walczył Hel, że jeszcze walczyło nasze wojsko pod Kockiem, dowodzone przez generała Kleberga. Tym jednak Niemcy nie chwalili się przed nami.

Nadszedł czas listów od tych, którzy zostali wzięci do niewoli. Te listy były nadzieją, że będący w niewoli ojcowie i synowie żyją. Długo nie nadchodziły wieści o tym, który poległ. Dopiero po kilku miesiącach rodzina została poinformowana przez PCK, że miało to miejsce pod Tomaszowem Lubelskim 23 września 1939 roku. Inny nasz sąsiad, pan Marian Radkowski, został ciężko ranny pod Łęczycą, w bitwie nad Bzurą. Leżał później w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie, gdzie odwiedzał go przebywający tam czasowo mój brat Piotr. Nasz ranny sąsiad wrócił po kilku tygodniach leczenia do domu, aby w 1944 roku umrzeć w swojej rodzinnej wsi. Leży na naszym wiejskim cmentarzu, a na jego grobie nie ma należnego mu pomnika bohatera. O ile dobrze pamiętam, miał przestrzelony brzuch i uszkodzony kręgosłup. Nie poruszał się samodzielnie.

Wspomniany wyżej pod Tomaszowem Lubelskim, to pan Waław Ł. Był ojcem moich dwóch kolegów szkolnych. Nie wiem czy i jaki ma grób. Inni powrócili z niewoli. Powrócił też ojciec Heluty, mojej koleżanki z klasy – pan Ignacy M. Zmobilizowany ponownie po wyzwoleniu, poległ 4 maja 1945 roku, jako żołnierz II Armii WP, 4 dni przed kapitulacją Niemiec hitlerowskich.

Mój ojciec nie był zmobilizowany, bo w chwili wybuchu wojny miał 46 lat i jego rocznik nie podlegał już tej pamiętnej sierpniowej mobilizacji.

Wywłaszczenia i wywózki z Warthegau

Pierwsze represje opisałem wyżej. Niebawem przyszły następne – wywłaszczenia Polaków w okupowanej Wielkopolsce i wywózki do GG. Nastąpił pamiętny dla nas dzień 15 grudnia 1939 roku. Organizowani do najwyższych granic miejscowi Niemcy wkroczyli nad ranem do bogatszych gospodarzy polskich, tych którzy mieli 15 i więcej ha ziemi, do właściciela sklepu, bogatszych rzemieślników, a więc do rodzin lepiej sytuowanych, gwarantujących lepszy łup grabieżcom. Na spakowanie się dali pół godziny i zezwolili zabrać tylko niewielkie tobołki.

Czekaliśmy ze strachem, kiedy przyjdą po nas. Ominęło to moją rodzinę. Na razie. Mieliliśmy przecież tylko niecały hektar ziemi i mizernie prosperujący warsztat szewski. Warsztat ten jednak ojcu zamknęli i zmusili go do pracy u Niemca w warsztacie, który Niemiec ten objął po wywiezionym do GG Polaku. W pierwszym etapie wywłaszczonych wywieźli do oddalonego zaledwie o 22 km Gniezna i razem z tysiącami innych rodzin z tych okolic, zgromadzili w halach nieczynnej garbarni. Był grudzień, a w oknach fabrycznych hal garbarni nie było szyb. Po kilku dniach wszystkich wywieziono do utworzonego właśnie w październiku Generalnego Gubernatorstwa (GG) w okolicie Krakowa, Zakopanego, Dukli.

Następna fala wywłaszczeń i wywózek do GG przyszła w mojej wsi po kilku tygodniach. Miejscem wywózki było teraz Podlasie, wschodnie Mazowsze. Wywłaszczyli i wywieźli wtedy pozostałych polskich gospodarzy. I w jednym, i w drugim przypadku gospodarstwa po wywłaszczonych Polakach przejęli czasowo miejscowi Niemcy. Docelowo był ten zagrabiony majątek przeznaczony dla Niemców, których przesiedlono z zagarniętej przez Związek Radziecki Litwy, Łotwy i Estonii. Tych Niemców zwało się Baltendeutschami (Niemcami bałtyckimi). Było to oczywiście przed zrealizowaniem przez Hitlera planu Barbarossa.

Moją rodzinę i to wysiedlenie ominęło, ale tylko do kwietnia 1940 roku. Nas wywłaszczono indywidualnie i bez wywożenia do GG. A to z tej przyczyny, że Niemcowi nazwiskiem Kurt Loehr jakoś późno przyszła ochota na nasz dom. Nie wywieziono nas, gdyż mój ojciec, w ich kalkulacji, był potrzebny na miejscu jako siła robocza, rzemieślnik pracujący przymusowo najemnie i, o ironio, we własnym warsztacie, we własnym domu, z którego wyrzucono nas.

Nasze wywłaszczenie, to również wizyta bardzo wczesnym rankiem miejscowego członka SS oraz innych Niemców i nakaz opuszczenia domu, również z mizernymi tobołkami. Zostawiliśmy wszystko: dom, ziemię, nieliczny inwentarz. Na mieszkanie wyznaczono nam w tej samej wsi jedną izbę, po niedawno wypędzonych do GG Polakach.

To był terror, budził strach i rozpacz. Pozostała po wywózkach polska ludność była przeznaczona do niewolniczej pracy na miejscu. Moja siostra Zenobia musiała pracować jako służąca w sąsiednim miasteczku u Niemca. Mój starszy brat Piotr musiał pójść do pracy w stolarni u Niemca, Baltendeutsch z Łotwy, w tym samym miasteczku. Tyle zdołali zrobić dla nich nasi rodzice, aby nie musieli pójść do pracy na roli. Praca służącej u Niemca była jednak bardzo ciężka. Niemcy zrobili również wszystko, aby była upokarzająca. Widzieliśmy, że siostra często płakała z powodu tych upokorzeń. Praca brata w stolarni też nie była lekka, jak i dojazdy do niej, o czym wkrótce sam się przekonałem. Na razie, mając 11 lat pasłem na miejscu u niemieckiego gospodarza krowy, tylko za chleb, czym uzupełniałem kartkowe głodowe przydziały. Pamiętam, że byłem szczęśliwy, iż mogłem najeść się prawie do syta tym chlebem z masłem. Pamiętam zapach tego chleba i masła, zapach dziecięcego szczęścia w czasie okupacji.

Jak już powiedziałem, pierwszym i najważniejszym efektem wywłaszczeń i wysiedleń z Warthegau do GG było całkowite pozbawienie w okupowanej Wielkopolsce Polaków nawet najmarniejszych środków produkcji, ziemi, nawet najmniejszych warsztatów rzemieślniczych. Przepraszam, iż podkreślę, że tego nie było w GG.

Kiedy ogląda się polskie powojenne filmy, nie odnosi się wrażenia, że tylko na terenie GG Polacy (jak Kuraś w „Polskich drogach”) mogli dorobić się majątku prowadząc własne przedsiębiorstwa (np. transportowe, stolarnie itp.), że ci Polacy dysponowali środkami transportu, zaprzęgami, a bywało że nawet samochodami.

W okupowanej Wielkopolsce Polak mógł mieć na własność tylko stary rower, jeśli oczywiście było to usprawiedliwione jego dojazdami do pracy. Tylko i wyłącznie. Na posiadanie roweru Polak musiał mieć specjalne zezwolenie. Rower Polaka był specjalnie oznakowany białym pasem na ramie poniżej siodełka, szerokości około 20 cm. To ułatwiało kontrole policji. Przepraszam, że jeszcze powtórzę, iż efektem wywózek było usunięcie polskiej ludności po to, aby z jednej strony pozbyć się większości żywności polskiej, z drugiej strony zrobić miejsce dla Niemców przesiedlanych z krajów bałtyckich, później również z terenów zagarniętych w Związku Radzieckim. Nasycalo to maksymalnie elementem niemieckim okupowaną Wielkopolskę. Dawało to i ten efekt, że pozostająca w Warthegau ludność polska mogła być dokładniej kontrolowana. Pojawienie się obcego Polaka bez wiedzy i zgody lokalnych władz okupacyjnych było absolutną niemożliwością. Jeden z moich bliskich znajomych nazwiskiem

Antoni T. nb. mój chrzestny ojciec mając przed wojną oraz na samym jej początku zatargi z miejscowymi Niemcami, zdecydował się czas okupacji przeżyć ukrywając się w niedalekiej okolicy. Został szybko ujęty, osądzony w trybie doraźnym (innego zresztą trybu okupant nie stosował) i stracony, chyba przez powieszenie, jako bardziej hańbiące.

Pozostająca po wywózkach resztką miejscowej ludności polskiej, to tylko robotnicy, przeważnie rolni i rzemieślnicy.

W taki oto okrutny, bandycki sposób III Rzesza Niemiec dokończyła dzieła tej kolonizacji, której Prusy nie zdążyły zrobić do I wojny światowej.

Swobodna zmiana miejsca zamieszkania nie wchodziła absolutnie w grę. Nie mieli również Polacy możliwości zwykłego przemieszczania się, podróży bez zgody władz okupacyjnych, bez dokumentu zwanego Passierschein.

Szkoła

Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, co stało się z nauczycielami, którzy do wakacji 1939 roku uczyli w naszej szkole, wówczas zwanej powszechną. Było ich czworo. Pochodzili chyba z Małopolski. Sądzę, że na owe wakacje 1939 roku rozjechali się w swoje rodzinne strony i to ich może uratowało przed niemiecką zagładą, która w okupowanej Wielkopolsce zgarnęła swoje tragiczne żniwo. Polscy nauczyciele zostali skrupulatnie wymordowani przez niemiecki nazizm.

Wybiegając myślą do przodu w czasie powiem, że po wojnie wróciła do nas tylko jedna nauczycielska para małżeńska – państwo G. – właśnie z południowej Małopolski.

Gdzieś chyba w miesiącu listopadzie 1939 roku niemieccy okupanci nieoczekiwanie uruchomili szkołę dla polskich dzieci. Oczywiście z językiem wyłącznie niemieckim. Sądzę, a tak się we wsi mówiło, iż stało się tak tylko dzięki miejscowemu naczelnikowi wsi, którego żona była Polką. Jeśli tak było, doceniam ten gest owego Niemca nazwiskiem Paech. Nie pamiętam też, aby gdzieś w okolicy były otwarte polskie szkoły. Czyżby moja wieś była wyjątkiem? Nauczycielami w tej uruchomionej szkole było polskie małżeństwo z Gniezna państwo K, znający dobrze język niemiecki. Byli ludźmi wykształconymi.

Nie muszę zapewniać, że radość była ogromna. W czerwcu 1939 roku ukończyłem trzecią klasę, a niemożność powrotu do szkoły w tragicznym wrześniu odczułem, proszę mi wierzyć, boleśnie. Nieskromnie powiem, że lubiłem się uczyć. Radość jednak trwała krótko, gdyż tylko do lutego 1940 roku, a więc trzy miesiące. Nazizm III Rzeszy Niemiec szybko wydał ustawę absolutnie zakazującą jakiegokolwiek kształcenia się polskich dzieci na terenie całej Rzeszy, w tym oczywiście głównie na terenach do niej przyłączonych, a więc i w okupowanej Wielkopolsce.

W pamiętnym dla mnie miesiącu lutym 1940 roku aresztowano wspomnianego wyżej nauczyciela naszej szkoły, oszczędzając jego żonę, i wywieziono go do obozu koncentracyjnego w Dachau. Przeżył obóz, ale chyba tylko dlatego, że był tłumaczem. Razem z nim był również aresztowany i uwięziony w Dachau miejscowy proboszcz – ks. N., który w obozie tym przeżył zaledwie kilka tygodni.

W okupowanej Wielkopolsce zamknięto więc wszystkie szkoły. Moją też. Zakwaterowano w niej wojsko. W Warthegau nie funkcjonowały od tej pory żadne szkoły dla polskich dzieci. Zawodowe również, które funkcjonowały przecież w GG i dawały tam szansę tajnego nauczania. W okupowanej Wielkopolsce nie istniały też możliwości nauczania na tajnych kompletach na taką skalę, jak było to w GG. Nie było w Warthegau nauczycieli, gdyż razem z całą inteligencją Wielkopolski zostali wymordowani w koncentracyjnych obozach. Tajność nauczania była też wykluczona z powodu nasycenia miast i wsi ludnością niemiecką i absolutnym nadzorem ludności polskiej, ciągłą jej obserwacją.

Jeśli o mnie chodzi, przez te trzy miesiące nauki zdołałem osiąść znajomość niemieckiej pisowni, nawet gotykem, i wiele innych trudnych dla polskiego dziecka rzeczy, właściwych językowi niemieckiemu. Postarali się o to nasi wspaniali nauczyciele, którzy rozumieli, że najważniejszą rzeczą jest uczyć polskie dzieci, nawet języka okrutnego wroga.

Układali oni program nauki tak, aby nas kształcić, podkreślam: kształcić. To dzięki nim dziś jeszcze, po prawie 60 latach, umiem zanucić, i to w języku niemieckim, znaną pieśń z XVIII wieku, kompozycji wielkiego W. A. Mozarta, której słowa (nawet w moim wolnym tłumaczeniu) są piękne: „O, przyjdź, kochany maju, i spraw, że drzewa znów będą zielone, i pozwól, aby nad strumykiem zakwitły nam małe fiołeczki”.

Tej starej austriackiej pieśni uczyli nas ci wspaniali nauczyciele w ponurych miesiącach początku hitlerowskiej okupacji, chyba po to, abyśmy my – polskie dzieci wiejskie – dowiedzieli się, że w języku niemieckim, poza złowrogimi, słuchanymi codziennie do bólu marszami wojskowymi, są również piękne pieśni.

Jak inaczej można wyjaśnić ten krótki epizod okupacyjnej nauki, epizod graniczący z paradoksem? Dumny jestem, iż pieśń tę zapamiętałem (ale o tym, iż ją skomponował WA. Mozart dowiedziałem się znacznie później).

Po zamknięciu szkoły ćwiczyłem pisanie w domu, na skrawkach papieru (o kupnie zeszytów nie było mowy), a nawet... na oszroniałych szybach (oszroniałych w niedogranych mieszkaniach z powodu braku węgla).

Nikt nie ośmielił się choćby pomyśleć, że miałem skłonność do niemczenia się. Ja chciałem się uczyć, czego nazizm mnie pozbawił, od dziecka gotując mi los niepiśmiennego niewolnika! Głód nauki próbowali, w tym krótkim okresie czasu tylko trzech miesięcy, zaspokoić wspaniali i wykształceni polscy pedagodzy, których pamięci kłaniam się.

Jak już powiedziałem, w zamkniętej szkole Niemcy urządzili kwatery dla swoich żołnierzy. Za podpałkę w piecach służyły im książki z naszej szkolnej biblioteki. Kwaterowali krótko, gdyż szybko odeszli ku dalszym podbojom Europy. Nie zdążyli więc spalić całej szkolnej biblioteki. Pamiętam, że wspólnie z innymi chłopcami weszliśmy przez okno do opuszczonej szkoły. Widziałem popiół ze spalonych w piecach książek i książki jeszcze ocalałe, leżące na podłodze przed piecami. Hitlerowcy Kulturt-raegerzy nie zdążyli ich spalić. Wyniosłem kilka. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, że wynoszenie po kryjomu tych ocalałych książek to śmiertelne niebezpieczeństwo, również dla całej mojej rodziny. Było to wynikiem braku wyobraźni dziecka.

Książki te, i inne, z naszej domowej biblioteki, stanowiły moją okupacyjną lekturę. Moi rodzice byli takimi dziwnymi ludźmi, że nie mając wykształcenia mieli książki w domu i czytali je. Tym dziwactwem zarazili wszystkie swoje dzieci.

Trylogię Henryka Sienkiewicza z naszej rodzinnej biblioteki przeczytałem w czasie okupacji 13 razy. To następny symbol i dowód głodu nauki, głodu dziecka pozbawionego jej okrutnym nazistowskim prawem. Taka lektura, to przeniesienie się wyobraźnią w inny świat, w inny czas, może również klęsk, ale i chwały. Trzydzieści razy w tamte lata rzewnie płakałem czytając owo dramatyczne wołanie księdza Kamińskiego nad trumną małego rycerza. Trzydzieści razy prostowałem się jednak, gdy do kolegiaty Stanisławowskiej wkraczał z brzękiem ostróg pan hetman Sobieski, a „zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim”.

Ta lektura była psychicznym ratunkiem w tamte ponure dni. Wybiegnę tu znów myślą do przodu w czasie (oraz poza ramy tego wypracowania) i powiem, że kiedy tuż po wojnie w 1946 roku, po „dorobieniu” trzech klas w polskiej szkole, zdawałem egzamin wstępny do Miejskiego Gimnazjum Kupieckiego w Gnieźnie, moja egzaminacyjna praca pisemna z języka polskiego była podobno napisana językiem „sienkiewiczowskim”. Powiedziała mi to, tak się dosłownie wyrażając, pani magister Eugenia Bogdasówna, ale już po egzaminie, w pierwszej klasie gimnazjum. Był to efekt naiwnego, w jakimś sensie, przeniesienia pięknego języka ukochanego „Ogniem i mieczem”, „Potopu” i „Pana Wołodyjowskiego” do mojej pracy egzaminacyjnej z języka polskiego. To było nieuchronne chyba, a może na pewno, po przeczytaniu tych pięknych książek 13 razy. Do dziś też pamiętam, że „Potop” zaczyna się zdaniem: „Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący”.

Przepraszam za tę dygresję.

Nie muszę się wstydić, że języka niemieckiego uczyłem się wprost zachłannie. Byłem głodny nauki, byle była. Język niemiecki zaczął jednak brzydnąć i stawać się nienawistnym w miarę, jak w obecności Niemca używanie go zaczęło być obowiązkiem, a za mówienie po polsku dostawało się w twarz. Jak dalecy byliśmy od niemczenia się, niech zobrazuje to następujący okupacyjny epizod, jaki wydarzył się w naszej rodzinie. Mój starszy brat Piotr, jeszcze przed wojną znalazł się u ciotki w Warszawie, aby tu „wyjść na ludzi”. W pierwszych zaraz miesiącach okupacji rodzice zdecydowali, aby brat wrócił z GG do domu pod ich rodzicielską opiekę, do okupowanej Wielkopolski. Aby to było możliwe, rodzice musieli odszukać w różnych parafialnych archiwach dokumenty (metryki chrztu, czy może urodzenia) potwierdzające, iż cztery pokolenia wstecz w rodzinie naszego ojca nie było krwi niearyjskiej. Wtedy okazało się nieoczekiwanie, że nazwisko panińskie mojej prababki ze strony ojca brzmi czysto z niemiecka – Sztube (die Stube w tłumaczeniu na język polski „izba”). Nie pomnę dziś, czy pisownia nazwiska była spolszczona tak, jak to podałem wyżej. Sami o tym nie wiedzieliśmy. Otarliśmy się wtedy o straszliwe niebezpieczeństwo z powodu odmowy podpisania tak zwanej Volkslisty (narodowościowej listy niemieckiej), co Niemcy mogli odczytać jako wrogi z naszej strony gest. Podpisanie tej listy zaproponowano nam. Nie muszę podkreślać, że postawa naszego ojca, odmawiającego podpisania jej, była postawą bohaterską. Tylko od miejscowego niemieckiego szefa naszej wsi (zwanego „burmistrzem”) zależało, iż nie znaleźliśmy się w gestapo i nie byliśmy posłani do obozu koncentracyjnego. Katownie swoje gestapo miało pod ręką – w policyjnym więzieniu w Żabikowie pod Poznaniem i w Forcie VII Poznańskiej Cytadeli, które już od samego początku okupacji budziły grozę (oprócz wspomnianego wcześniej Inowrocławia).

Jeszcze głębiej w okupacyjny mrok

Mam wrażenie, że okupacyjny stosunek Niemców do Polaków na terenie Warthegau jest w Polsce znany tylko ludziom, którzy w czasie okupacji na terenie okupowanej Wielkopolski żyli. Uważam, że tylko osobiste przeżycia pozwalają na pełne zrozumienie tego, jak Niemcy nas traktowali. Byliśmy uważani za niewolników w pełnym tego słowa znaczeniu. Dostawaliśmy po twarzy za niezdyknięcie czapki przed umundurowanym Niemcem, nawet przed umundurowanym rówieśnikiem z organizacji Hitlerjugend. Ja dostałem z tego powodu od nieco starszego młodego Niemca, syna sąsiadów.

Kiedyś inny miejscowy młody Niemiec rozkazał mi oddać mu łyżwy na ślizgawce. Dał się nabrać, gdy poprosiłem go, aby pozwolił mi przejechać jeszcze parę metrów. Tyle mnie widział z tymi łyżwami. Uciekłem w porywie takiego małego dziecięcego buntu, o tyle niepotrzebnego, że mogło to się dla mnie źle skończyć. Długo musiałem daleko omijać tego Niemca, aby nie być pobitym. Udało mi się tego uniknąć.

Wtedy, gdy zostałem uderzony w twarz za niezdyknięcie czapki przed umundurowanym członkiem organizacji Hitlerjugend, poczułem się głęboko upokorzony, choć winienem wtedy pojąć, iż uległem sile. Los innych był jeszcze okrutniejszy. Chyba wtedy płakałem. Byłem dzieckiem.

Niemcy tracili ludzi pod każdym najmniejszym pretekstem lub pretekst taki stwarzali, przyjmując winę pozorną za rzeczywistą. Zdarzyło się np. tak, że polski robotnik, Franciszek Ż., zatrudniony u jednego z naszych miejscowych Niemców, przy cofaniu traktora nieumyślnie spowodował śmierć syna gospodarza, na domiar złego, członka SS (nazwiskiem Katschirek, które kiedyś być może brzmiało Kaczorek). Pan Franciszek Ż. został – bez względu na fakty – aresztowany pod zarzutem umyślnego spowodowania śmierci niemieckiego dziecka. Nie wyszedł nigdy na wolność, a jego los jest nieznany.

Inny przypadek znów, to pożar w czasie młocki u Niemca nazwiskiem Fietz (nawiasem mówiąc należącego do przyzwoitszych wśród miejscowych Niemców). Nie pamiętam już, czy faktycznie przyczyną pożaru był rzucony niedopałek papierosa. Pożar mogła spowodować równie dobrze iskra z lokomobili. Winę za pożar przypisano polskiemu robotnikowi Stefanowi B. (Niemcy nie dochodzili jednak prawdziwej przyczyny). Polaka stracono. Rodzina nie dowiedziała się nigdy gdzie i kiedy.

Gdy o mnie chodzi, nie bardzo chce mi się prosić Niemców o przebaczenie. Ja im nigdy nic złego w życiu nie zrobiłem. Nie mają mi czego wybaczać. Ja im wybaczam. Zabranie mi dzieciństwa. Głód i poniewierkę. Pracę ponad siły. Bicie po twarzy też. Niewolę trwającą ponad pięć lat.

Okupacyjny przymus pracy

Na terenie okupowanej Wielkopolski obowiązywało bezwzględne prawo nakładające na Polaków obowiązek pracy już z chwilą ukończenia 14 lat życia, a więc zatrudnianie również dzieci. Uchylenie się od tego przymusu oznaczało uwięzienie i śmierć.

Każdy Polak był dokładnie zarejestrowany przez lokalne władze, a na tej podstawie w okupacyjnym urzędzie pracy – Arbeitsamcie. Miejscowi Niemcy o każdym Polaku wiedzieli wszystko, mieli go na oku na tyle skutecznie, że omijanie obowiązku pracy było absolutnie wykluczone.

Aby i mnie ratować przed pracą na roli u Niemców (z poznańska zwanych bambami), rodzice postarali się o to, abym mógł razem z bratem pracować w sąsiednim miasteczku, oddalonym od miejsca zamieszkania o 7 kilometrów. Wyprosilili dla mnie u szefa wsi, wspomnianego już burmistrza, aby zgodził się na moją pracę w stolarni, w innej miejscowości. Łączyło się to jednak z uciążliwością dojazdów do tej pracy rowerem, starym zdezelowanym rowerem. Zawsze było to jednak lepsze w naszym przekonaniu niż praca robotnika rolnego. A zatem już w wieku 14 lat pracowałem w charakterze robotnika stolarskiego (nie ucznia) w firmie N. SCHULTZ, Bau- und Moebeltischlerei w Witkowie. N. Schultz przejął ten warsztat stolarski po wypędzonym Polaku – Kazimierzu D. Początek tej pracy i mojej okupacyjnej kariery stolarza, to 14 maja 1943 roku. Dojazdy do pracy były szczególnie przykre zimą i w słoty. Dorośli pracownicy warsztatu jak mogli, tak oszczędzali nas młodocianych (a było nas trzech – Irek B., Teofil L. i ja), ale nie zawsze i nie wszystko mogli. Mieli do wykonania swoją ciężką pracę. Produkowaliśmy masowo m.in. szafy, chyba dla koszar lub może internatów organizacji Hitlerjugend. Produkcję tę należało wykonać zawsze pilnie.

Często drogę do pracy musiałem pokonywać pieszo, gdyż mój stary rower psuł się. Przydział na kupno nowego mógł dostać tylko Niemiec. Tydzień pracy wynosił 57 godzin.

Najgorszy był jednak głód, ciągły głód! Młody organizm i wysiłek fizyczny (praca i dojazdy rowerem) wymagały, aby żołądek był napełniony do syta. Tak nigdy nie było, a i kaloryczność posiłków pozostawiała wiele do życzenia. Kartkowy przydział chleba był skąpy, ilości masła wręcz śladowe, mięsa też. Była marmolada z buraków cukrowych, ale też nie w dowolnych ilościach. Niemcy dbali o swoją niewolniczą siłę roboczą tylko na tyle, aby niewolnika utrzymać przy życiu. Niewolnik stale był na krawędzi głodu, zwłaszcza gdy był to niewolnik młody.

Niezbyt wcześnie zorientowałem się, że rodzice odejmowali sobie od ust swoje również głodowe racje i dzielili się nimi z nami – moim starszym o siedem lat bratem Piotrem i ze mną. Mama nie miała obowiązku pracy mając w domu trzech pracujących mężczyzn, do których i ja, w wieku 14 lat, byłem również przez Niemców zaliczany. Wymyślała różne rzeczy, aby napęłnić nasze puste żołądki. Pamiętam, iż m.in. robiła smakołyk: placek z marchwi z małą ilością mąki, która przecież też była na kartki. Był to majstersztyk naszej mamy.

W okupowanej Wielkopolsce nie istniał tak zwany czarny rynek. Za pokątny handel żywnością, a szczególnie mięsem, za nierejestrowany, a więc nielegalny ubój świń groziła kara śmierci. Śmierć z tego powodu spotkała kogoś z mojej dalszej rodziny.

Polska ludność, mimo braku ziemi (bo tę w całości odebrali Niemcy) zdołała niekiedy wyhodować świnie karmione chwastami. Ubicie tak wyhodowanej świni musiało być zgłoszone do okupacyjnych władz, które jednak zabierały wtedy kartki na mięso na określony czas.

Moim marzeniem, pamiętam, było zjedzenie całej, dużej bułki z masłem. Było to nieosiągalne marzenie dziecka, wiecznie głodnego. Chleb pszenny nie był dla Polaków. Przydziałowy chleb czarny był prawie cały z otrąb.

Pamiętam, że czasem okazjnie mama nasza dostawała obrane do białości z mięsa kości wołowe. Mama gotowała z tego coś w rodzaju rosółu, pożywne były od biedy chrząstki i szpik kostny. To było okazjnie, jakby od święta, gdy takie kości wołowe udało się dostać.

Przyszedł czas, gdy niemiecki Wehrmacht zaczął wreszcie cofać się – od bitwy pod Stalingradem. Władze niemieckie ewakuowały wtedy na zachód tych Niemców, którzy zamieszkiwali rejony zachodniej części Związku Radzieckiego, głównie ziemie naszej II Rzeczypospolitej oraz tak zwaną Besarabię. Ewakuowanych Niemców lokowano właśnie w Warthegau, już zagęszczonym do tej pory do granic możliwości przesiedlonymi wcześniej tam Niemcami z krajów bałtyckich. Lokowano ich w Warthegau oczywiście kosztem Polaków, których upychano jeszcze bardziej w ich mieszkaniach siłą, bezwzględny- mi nakazami. Nas to też dotknęło. W czasie okupacji przesiedlano nas trzy razy.

Jak już powiedziałem, w okupowanej Wielkopolsce nie było ulicznych łapanek. Tych Polaków, których miejscowe władze uznawały za ewentualnie zbędnych, a raczej bardziej przydatnych w głębi Rzeszy, wywożono mocą nakazów, według rejestru Arbeitsamtu. Tak więc okupant nie musiał w Warthegau uciekać się do wyłapywania ludzi na ulicy. Ucieczka przed deportacją do Rzeszy nie miała najmniejszej szansy powodzenia. Ukrywanie się, to pewna śmierć. Ta jest właśnie różnica w stosunku do sytuacji w GG. Wywożono ludzi przeważnie zatrudnionych w rolnictwie. Ich dotychczasową pracę wykonywali ci, którzy nie byli wywiezieni. Deportacji do Rzeszy mogli ewentualnie uniknąć ludzie zatrudnieni w rzemiośle lub przemyśle. Ja takiej wywózki uniknąłem. Do czasu.

„Einsatz”

Przyszedł sierpień 1944 roku. Front wschodni był już nad Wisłą. Niemcy w ostatniej chwili, w pośpiechu, ale jeszcze nie w panice, postanowili budować umocnienia frontowe na zachód od linii Wisły.

Pamiętnego dla mnie dnia 6 sierpnia 1944 roku deportowali nas z bratem i innymi pracownikami warsztatu, wraz z tysiącami ludzi z naszej części Wielkopolski i Łodzi w okolice Torunia, Aleksandrowa Kujawskiego, Dobrego, Radziejowa, na tak zwany „Einsatz”. Tak nazywaliśmy tę niemiecką akcję kopania okopów.

Kilka dni później wywieziono również naszego ojca, ale w okolicy Izbicy Kujawskiej. Mama została sama i w bezdennej rozpacz.

Zakwaterowali nas w stodołach, młynach itp. niemieszkalnych pomieszczeniach. Z bratem rozdzielono nas. Zostałem sam, ale pocieszałem się, iż pozostał ze mną inny pracownik naszego warsztatu z Witkowa – pan Tadeusz Ł. Mieszkaliśmy w stodole. Póki był sierpień i wrzesień (wtedy wyjątkowo ciepło), spanie w dziurze wygrzebanej w słomie nie było najbardziej uciążliwe. W październiku już zaczęło być wręcz strasznie, kiedy po ciężkiej pracy wracało się wieczorem na kwaterę do stodoły, często w ubraniu przemoczonym na deszczu. Zakopywanie się w słomę nie dawało niezbędnego do odpoczynku ciepła.

Wstawaliśmy o bardzo chłodnym świcie, wciąż w wilgotnej odzieży. Szliśmy na poły głodni wlokąc się kilka kilometrów na wyznaczony odcinek robót. Marsz do pracy długimi kolumnami ludzi pograżonych w rozpacz pogłębiał beznadzieję. A jednak w kobiecych kolumnach Łodzianek słychać było czasem śpiew. Tęskny, cichy śpiew łódzkich robotnic. Śpiew milknął, gdy w pobliżu pojawiał się nadzorca Schultz. Pamiętam to nazwisko.

O trwającym właśnie Powstaniu Warszawskim nie wiedzieliśmy nic, gdyż byliśmy izolowani od miejscowej, nielicznej zresztą, ludności polskiej. A i ta, nie wiem, czy miała takie informacje. Gestapo dbało o to, aby tego rodzaju wieści nie przenikały z GG do polskiej ludności w Warthegau. Być może dorośli zdawali sobie bardziej sprawę z sytuacji, ale nie jestem też pewien, czy wiedzieli dużo

o stojącym nad Wisłą froncie wschodnim. Przez mgłę pamiętam, że o tym rozmawiali. Rozmowy o tych sprawach były niebezpieczne, o czym zawsze należało pamiętać i z czego zawsze należało w czasie okupacji zdawać sobie sprawę, nie mając absolutnej pewności, czy rozmówca jest godny zaufania. Byliśmy zbiorowiskiem ludzi przypadkowych, spędzonych przymusowo. Może dorośli analizowali strzępy wiadomości oficjalnych, niemieckich, gdzieś wyczytanych z Ostdeutscher Beobachter?

Nasza praca polegała na kopaniu rowów strzeleckich, rowów przeciwczołgowych, budowie bunkrów, umacnianiu ich faszyną związaną drutem. Pół biedy, kiedy ziemia była piaszczysta i lżejsza. Wykonanie tych prac w podmokłym podłożu (nad rzeczkami, których nazw nie znam) było już zadaniem ciężkim. Ja miałem wtedy tylko piętnaście i pół roku.

Pilnował nas personel niemiecki (najbardziej zapamiętałem wspomnianego wyżej Schultza) i biada nam, jeśli praca nasza nie zadowalała nadzoru. Rozpaczliwość położenia pogłębiał fakt, że widzieliśmy wciąż doskonale zorganizowaną machinę: na czas dostarczane drewno budulcowe, drut i faszynę. To jeszcze nie był w grzy rozsypany się organizm, o co dbało wszechwładne gestapo. To nie dawało nadziei na rychły koniec.

W drugiej połowie października przydzielono nam na zakwaterowanie opuszczone domostwa w sąsiedniej wsi, bez szyb w oknach, bez drzwi i pieców. To było chyba na byłym poligonie między Toruniem a Aleksandrowem Kujawskim albo na terenach wyludnionych dla celów wojskowych. We własnym zakresie musieliśmy deskami zabić na głucho okna (bez szyb), wykonać jakieś drzwi, w miarę szczelne, aby było ciepłej. Robiliśmy wszystko to po normalnych godzinach pracy. Wybudowaliśmy z gliny i cegiel piec do ogrzewania. Zbudowaliśmy również prycze piętrowe. Spaliśmy na nich pokotem w słomie. Nie wszyscy na noc z powodu zimna zdejmowali wierzchnie odzienie, toteż szybko zaszreni byliśmy dokumentnie. Walczyliśmy z wszami gotując wszystko, co było możliwe i niemożliwe do gotowania, w jakimś zdobytym cudem kotle. O ile dobrze pamiętam – skutecznie, gdyż pozbyliśmy się ich. Robiliśmy to po kryjomu, gdyż nie wolno nam było zostawać na kwaterach w godzinach pracy. Nie mieliśmy też niedziel. Na tej kwaterze zostawaliśmy jednak w tym celu po kolei, nielegalnie. Głowa każdego z nas była w tym, aby nie dać się złapać lotnym kontrolom niemieckiego nadzoru. Ja to przeżyłem kiedyś w ten sposób, że po zauważeniu w porę kręcących się w pobliżu Niemców, skutecznie schowałem się pod prycę. Paliliśmy odpadkami drewna z budowanych umocnień. Palenie drewnem nie z odpadków było sabotażem.

Dopiero dziś zdaję sobie w pełni sprawę, że wtedy byłem dzieckiem. A przecież musiałem stawić czoło problemom tak, jak dorosły. Płakałem rzadko i to był chyba mój ratunek. Płakałem rzadko chyba dlatego, że nieszczęście było powszechne, że cierpieli wszyscy Polacy, że w nieszczęściu nie ma czasu na zastanawianie się nad sytuacją. A ta była straszna.

Kilka kilometrów od nas przy szosie ze Służewa do Torunia, pod lasem w wąwozie był obóz internowanych włoskich żołnierzy marszałka Badoglio. Tak mówiło się o nich między nami. Pracowali na innych odcinkach niż my, bez kontaktu z nami. Nie wiem, jaki był ich na koniec los. Nigdy po wojnie nie odwiedziłem tych okolic.

Pracowaliśmy do ostatnich dni. Kiedy wreszcie ruszyła ofensywa radziecka 17 stycznia 1945 roku, popędzono nas pospiesznie kolumnami na zachód. W kopnym śniegu, w mróz, bocznymi drogami, nie śpiąc, potwornie zmęczeni brnęliśmy Puszcza Bydgoską. Tam nas „zgubili” konwojujący Niemcy. Oni sami myśleli dopiero teraz o ucieczce.

Był chyba 22 stycznia 1945 roku. Ogarnęły nas nacierające wojska radzieckie, które początkowo nie wiedziały, z kim mają do czynienia. Byliśmy wolni. Skończyła się moja okupacyjna gehenna dziecka.

Post scriptum

Z opowieści mojej mamy wiem, że miejscowa niemiecka ludność cywilna z naszych stron nie była przez nikogo wypędzana w owe styczniowe dni 1945 roku. Ludność ta uciekła sama, jednak gestapowska machina nie pozwoliła na odpowiednio wczesną ewakuację. Taka ewakuacja cywilnej ludności niemieckiej zaprzeczałaby temu, co głosiła propaganda ministra Josepha Goebelsa, że zwycięstwo jest tuż tuż. Ewakuację na naszych terenach rozpoczęto już po ruszeniu styczniowej ofensywy radzieckiej. Miejscowi Niemcy ewakuowali się w trzaskający mróz na chłopskich furmankach. Poruszali się bocznymi drogami, gdyż drogi główne były zawałone cofającym się już Wehrmachtem. Ewakuowały się kobiety, dzieci i starcy, gdyż mężczyźni zdolni do noszenia broni byli w armii.

Koniec tego wszystkiego można sobie wyobrazić. Nie wiem, czy zdążyli dotrzeć chociaż do Odry, względnie jak daleko zdołali ująć przed ofensywą radziecką, i co się z nimi na koniec stało. Można zakładać najgorsze, a wszystko to zawdzięczać mogą tylko swemu obłądnemu fuhrerowi i gestapo.

W ciągu półtora roku, licząc od pamiętnego dla mnie dnia 15 lutego 1945 roku (dnia rozpoczęcia nauki) do końca czerwca 1946 roku, „zrobiłem” trzy klasy szkoły powszechnej i ze świadectwem ukoń-

czenia sześciu klas (nie siedmiu), zdałem egzamin wstępny do, wtedy jeszcze, Miejskiego Gimnazjum Kupieckiego w Gnieźnie.

Uratowane w czasie wojny książki, o czym pisałem wyżej, oddałem w lutym 1945 roku do biblioteki szkolnej w mojej rodzinnej wsi. W Gnieźnie, w Państwowym Liceum Handlowym, zdałem egzamin maturalny w czerwcu 1951 roku. Miałem właśnie skończone 22 lata. Szkołę średnią robiłem już bez przyspieszenia. Chciałem jednak naukę w Gnieźnie przerwać po uzyskaniu tak zwanej małej matury w 1949 roku, aby usamodzielnic się, ulżyć moim rodzicom, pójść do szkoły oficerskiej. Rodzice moi nie chcieli jednak o tym słyszeć. Kłaniam się ich najdroższej pamięci za to, kłaniam się bardzo nisko. Nie było im lekko przecieź. Ojciec był nadal szewcem i uprawiał niecały hektar własnej ziemi.

Moi rodzice zrobili wszystko, aby moje dzieciństwo, utracone przez niemiecką okupację, zastąpić przesuniętymi w czasie latami młodości. Robili to skutecznie, o czym wspominam nie bez łez. Czy muszę się tych łez wstydzic?

Napawa mnie jednak goryczą, że niedawno w pewnym Ważnym Urzędzie w Warszawie, zajmującym się okupacyjnymi sprawami Polaków, ktoś nie wiedział co to był „Einsatz”. W innym urzędzie ktoś młody był zdziwiony, że Niemcy w czasie okupacji zatrudniali dzieci. Jeszcze w innym urzędzie, bardzo ważnym urzędzie, musiałem napijać upokarzające oświadczenie, zresztą nie skutkujące niczym, że moja okupacyjna praca nie była pracą zarobkową, ale pracą przymusową, a jej odmowa groziła utratą życia. Taki sam policzek został wymierzony również jednemu z moich towarzyszy okupacyjnej niedoli (razem pracowaliśmy jako 14-letni chłopcy), również w pewnym Ważnym Urzędzie w Warszawie, gdzie odmówiono mu mizernej zapomogi finansowej, gdyż z przedłożonych dokumentów nie wynikało zdaniem urzędników tego Ważnego Urzędu iż jego praca, jako 14-letniego dziecka, była pracą przymusową.

To jest bardzo przykre i bolesne, to napawa goryczą.